

W gruncie rzeczy o dojmującej samotności

Stół suto zastawiony, na środku butelka z przeźroczystym płynem, nieopodal słoiki z ogórkami w towarzystwie kieliszków. Wokół siedzi trzech mężczyzn. Ich miny zdradzają stan upojenia. Śpiewają przy tym pełną piersią, wspominają dawne dzieje. Powie ktoś – ot, konwencjonalne spotkanie kumpli przy wódce. Rzecz w tym, że ci mężczyźni zapewne kilka godzin wcześniej zdjęli z szyi koloratki... Takimi kadrami rozpoczyna się film, o którym mówi już bardzo wielu, a być może równie wielu wolałoby, by obraz wcale się nie ukazał. Mowa o „Klerze” Wojciecha Smarzowskiego.

Przez ponad dwie godziny reżyser nie pozwoli nawet na ukradkowe ziewnięcie w kinie. Zmusi do przyjrzenia się sytuacjom tragikomicznym i przygnębiającym, wstrząsającym, a niekiedy druzgoczącym.

Fundamentem „Kleru” są losy trzech kapłanów, ale równoprawnym bohaterem stanie się też czwarty – arcybiskup Mordowicz, niezwykle udanie, zuchwale zagrany przez Janusza Gajosa.

Pierwszy ksiądz, gospodarz libacji, to Andrzej Kukuła (Arkadiusz Jakubik). Potrafi równie sprawnie usprawiedliwić nietrzeźwych kolegów przed patrolem miejscowej policji jak zainkasować sporą kwotę za pogrzeb od niegrzeszącej groszem rodziny. Drugi, ksiądz Tadeusz Trybus (Robert Więckiewicz), chcąc szybko znaleźć się w ramionach kochanki, Hanki Tomali (Joanna Kulig), nie zawaha się wsiąść do auta po pijanemu. Trzeci kapłan to Leszek Lisowski (Jacek Braciak). Dzięki jego wyczynowi z przeszłości jest okazja do opróżnienia butelki. Uratował przed laty kolegów z płonącego kościoła. Po pysznym wieczorze rozjadą się do swoich parafii i... kurii, bowiem Lisowski jest prawą ręką Mordowicza. Smarzowski umiejętnie będzie widzowi dawkował ich losy.

Każdego z nich łączy nie tylko duża doza inklinacji do alkoholu. Można zaryzykować stwierdzenie, że wszyscy potrzebują nawrócenia, bo ich codzienność jest biegunowo odległa od nauki, którą – nie zawsze z sukcesem – głoszą.

Początek filmu będzie odpowiedni zwłaszcza dla tych widzów, którzy – przynaglenni dość krzykliwym zwiastunem – utwierdzą się w przekonaniu, że księża to „pedofile złodzieje pijacy to jest kler” [pisownia oryginalna]. Z kolejnymi jednak minutami reżyser zaprosi nas do gruntownego poznania ich życia, co być może da szansę na porzucenie „czarno-białych” okularów.

Zacznijmy od Kukuły. Oprócz wspomnianych już pazerności i nadużywania alkoholu odczuwa niepokojącą, wydaje się skrajnie niewłaściwą, sympatię do jednego z ministrantów. Owszem, obserwujemy go z zapalem kąpiącego piłkę wraz z chłopcami, co z dydaktycznego punktu widzenia jest godne pochwały. Gdy jednak tego samego Kukułę podglądamy przez dziurkę od klucza, jak każe ministrantowi ściągnąć koszulkę, wówczas zaczynamy odczuwać co najmniej wściekłość. Bardzo długo, praktycznie przez cały film, będziemy szli z mieszkańcami jego parafii i wymachiwali za Kukułę rękoma, pomstując: „Pedofil!”. Ostatnie sceny filmu będą więc dla nas tym bardziej ogromnym zaskoczeniem.

Trybus ma jeszcze większe problemy z alkoholem. W dodatku regularnie sypia z Hanką Tomalą, swoją parafianką - prostą dziewczyną z nieślubnym dzieckiem. Kiedy ta zajdzie z nim w ciążę, bez zbędnych ceregieli zasugeruje jej usunięcie. Skrajną nieodpowiedzialność za życie kobiety i swojego dziecka zrozumie... w czeskiej klinice, gdzie wtargnie, szukając rozpaczliwie kochanki, która najpewniej zamierza poddać się aborcji.

Teoretycznie grzechy Lisowskiego są na tle postawy Kukuły i Trybusa stosunkowo łatwo wybacalne. Jest chorobliwie ambitny – marzy o karierze w Watykanie. Wszystkie więc jego wysiłki sprowadzają się do wiernej służby u arcybiskupa, tak by wreszcie doczekać się awansu. Nosi nienaganne koszule, włada włoskim i niemieckim, mieszka w krakowskim apartamencie nad Wisłą. Ów karierowicz ma głowę nie od parady – obraca ogromnymi kwotami potrzebnymi, by sfinalizować budowę świątyni dla Mordowicza.

Wreszcie arcybiskup – stopień jego hipokryzji i przywiązania do bogactwa jest buforowany przez najwyższej klasy aktorstwo Gajosa. Trudno nie rozsmakować się w kilku wypowiedzianych przez niego kwestiach jak choćby: „Złote, a skromne...” czy „Lata spędzone w służbie Maryi przeżyłem w ubóstwie...”. Jednocześnie mamy świadomość, że to duszpasterz archidiecezji, który winien ujmować wiernych Chrystusowymi pokorą i miłością. Tymczasem traktuje swych podwładnych (w tym Lisowskiego) karcąco i z nieukrywaną pogardą.

Czterem wyraziście zarysowanym przez scenariusz postaciom towarzyszą, rzecz jasna, inni – zarówno księża, jak i wierni świeccy. Mordowicz na przykład nie mógłby raczyć się whisky w towarzystwie lokalnych prominentów, nie stawiałby świątyni za niebotyczne kwoty bez pomocy oddanych mu księży pracujących w kurii. Wśród nich próżno szukać kapłanów pobożnych – są tam za to karierowicze czy homoseksualiści.

Innym, niebagatelnym dla rozwoju akcji, środowiskiem działania kościoła jest sierociniec prowadzony przez zakonnice. Rozgrywane tam sceny – w tym maltretowanie dzieci, psychiczne i fizyczne – mogą wywołać zrozumiałe współczucie dla ofiar, ale i istny gniew na taki stan rzeczy.

Świeccy z kolei są ledwie zarysowani (oprócz wspomnianej już Hanki Tomali) i przedstawieni albo jako bezrefleksyjni, bezgranicznie ufający swoim księżom wierni albo jako ci głośno wyrażający swe oskarżenia. Próżno szukać w filmie człowieka głęboko wierzącego, ale reżyser – nadając dziełu tytuł „Kler” – nie miał zapewne ambicji pokazać (bo to byłoby niezwykle karkołomne i chyba jednak niemożliwe) wszystkich typów wiernych.

Smarzowski na szczęście nie pozwoli rozumnym widzom na niskogatunkowy rechot. Ufam też, że po seansie osoby będące jeszcze przed obejrzeniem filmu antyklerykałami, nie pośpieszą od razu wybijać szyb na plebaniach. Reżyser takich artystycznych znakomitości jak „Róża” czy „Wołyń” – poprzez turpistyczną kondensację – tworzy, paradoksalnie, przestrzeń do dialogu. I rzecz nie w tym, że „Kler” nie pokazuje całej prawdy o polskim kościele katolickim, a jedynie tę marginalną, ale jednak najohydniejszą jego część. Owe stężenie zła winno stać się okazją do poważnej rozmowy i, co zaskakujące, prowadzić do dobra.



Bartek Mrozowski/mat. Kino Świat

Reżyserska psychologia postaci nie zawodzi. Film „Kler” traktuje bowiem o bezradności pedofilskich ofiar, ale i o... samotności księży. Kiedy ks. Kukuła ma po latach okazję spotkać dawnego oprawcę, emerytowanego już księdza pedofila, a ten niemo patrzy w jego nabrzmiałe od oczu łzy, z bezradności chwilę później przewraca meble w swym pokoju wiedząc, że żadne katharsis nie nadejdzie; że to spotkanie ze zwyrodnialcem jedynie rozjątrzy teoretycznie tylko zasklepione rany. Pozostaje uklęknąć przed tabernakulum, ale i to na długo nie wystarczy.

Samotny jest też ks. Trybus, kiedy wspomina nad kieliszkiem w pustej, brzydkiej, plebanijnej kuchni chwile spędzone z kochanką. Wódka nie daje już ulgi, bo jest protezą dla porzucenia. To wtedy grany przez Więckiewicza kapłan, być może pierwszy raz w życiu, zachowa się jak mężczyzna. Odnajdzie tę, za którą tęsknił i weźmie za nią i za swoje przyszłe dziecko odpowiedzialność.

Wstrząsająca jest też scena samotności Lisowskiego. Regularnie odwiedza sierociniec, który w dzieciństwie był też i jego „domem”. Kiedy siedzi w opustoszałej, zimnej sali pełnej dziecięcych łóżek, jego wyobraźnia podsuwa nie dające się zapomnieć obrazy. Jako mały chłopiec był świadkiem fizycznej przemocy, a następnie molestowania jednego z kolegów. Teraz, ten dorosły już Lisowski, roni łzy bezradności.

Dojmująco samotny jest wreszcie mężczyzna, który staje przed komisją, mającą zbadać jego oskarżenia o czyny pedofilskie jednego z księży. Srogie twarze przesłuchujących go duchownych z arcybiskupem na czele są aż nadto czytelne. Podobne dramatyczne wrażenie wywołają wypowiedzi innych ofiar.

Świadomie nie zdradzę dwóch elementów filmu – tego, kto tak naprawdę z przedstawionych księży jest winien cierpienia tych najmłodszych oraz końcowej sceny obrazu, bo chcę wierzyć, że wielu jeszcze dzieło zobaczy. Nie mają racji ci, którzy widzą w twórcach „Kleru” przedstawicieli „wrogich sił” działających przeciwko kościołowi. Nie zgadzam się też z tymi, którzy – chcąc uniknąć „nawet pozoru zła” – odradzają wizytę w kinie. Smarzowski, owszem, z premedytacją prowokuje, wali obuchem w głowę, ale swym obrazem chce przynaglić do wyjścia z odrętwienia. Nie czyni tego zresztą pierwszy raz. Jego znakomite „Wesele” nasuwa w sposób naturalny skojarzenie z utworem Wyspiańskiego. Młodopolski dramaturg w niezwykle

celny sposób diagnozował polskie społeczeństwo. Podobne ambicje zdaje się mieć Smarzowski, dlatego w opinii piszącego te słowa powoli zasługuje na miano – jakkolwiek górnolotnie to zabrzmie – filmowego Wyspiańskiego XXI wieku.

Bez wysmakowanej gry aktorskiej jego reżyserskie plany spełzłyby jednak na niczym. Powiedzieć, że aktorstwo w „Klerze” jest na najwyższym poziomie to zwyczajny truizm. Smarzowski zdążył nas już przyzwyczaić nie tylko do dobrze dobranych scenariuszy, wstrząsająco trafnej muzyki, ale nade wszystko do ekranowych Artystów. Jakubik, Więckiewicz, Braciak to nazwiska, które już na stałe zapiszą się w rodzimej kinematografii.

Na koniec warto raz jeszcze podkreślić – mimo wielu walorów film nie pokazuje całej prawdy – jak być może chciałoby wielu - o polskim kościele katolickim, bo milczy o niemałej ilości pobożnych kapłanów i mądrych wiernych. Indykuje za to największe, najbardziej wstrząsające i bolesne grzechy zarówno zwykłych księży, jak i ich hierarchów.

Jeśli po obejrzeniu obrazu Smarzowskiego będzie choć jeden kapłan, który na nowo przyjrzy się swemu powołaniu i nawróci ze złej drogi... Jeżeli choć jeden wierny świecki, być może pierwszy raz w swym życiu, pomodli się całym sercem za wikarego ze swojej parafii... Jeśli znajdzie się choć jeden alkoholik, pedofil, materialista, zarozumialec w koloratce, który dokona wewnętrznej aspersioni i będzie potrafił zadośćuczynić skrzywdzonym przez siebie osobom... Jeżeli antyklerykał w swym hejterskim zacietrzewieniu choć na moment zobaczy w kapłanie człowieka... to znaczy, że „Kler” wydał dobre owoce. Głęboko wierzę.

Michał Laskowski